

Mirosław Żelazny

EGIPSCY ROBINSONOWIE

Mój przyjaciel z czasów studiów, który wszystko wiedział najlepiej, twierdził, że w jakimś amerykańskim przewodniku turystycznym w rozdziale o Polsce miało być jakoby napisane: „proszę nie zwracać uwagi, że Polacy, podobnie jak Arabowie, piją kawę w szklankach”. To prawda, Arabowie piją kawę ze szklanek, Polacy chyba jeszcze też, przynajmniej czasami. Prawdą jest też, że gdy wczoraj zamawiałem kawę, siedząc przy stoliku w towarzystwie dwojga znajomych z Norymbergi, kosztowała ona dziesięć funtów za szklankę, dziś, gdy odłączyłem się od wycieczki i siedzę z Mohamedem, tylko dwa. To taki miejscowy koloryt.

Cały dzień szwendałem się po wioskach w okolicy Luksoru, punktu wyjściowego wycieczek udających się do słynnej Doliny Królów, a teraz nowo kupionym długopisem robię notatki. Stary zniknął w przemyły sposób. Gdy przed paroma godzinami na chwilę przysiadłem w cieniu, by coś zanotować, otoczyła mnie gromada śniadych dzieciaków w długich, jakby nocnych koszulach. Jeden z chłopców, widocznie najodważniejszy, poprosił mnie na migi, żebym mu moje pisadło pokazał. Podałem mu je z uśmiechem i... tyle go widziałem.

Mohamed ofiarował się za trzysta funtów odwieźć mnie z powrotem do Hurghady własnym gruchotem, bez tego śmiesznego konwojowania przez groźnych jegomości uzbrojonych w karabiny kałasznikowa. Nasz konwój liczył dwieście piętnaście autobusów. Chyba przeplacam, ale ofiarował mi dziś przecież bardzo dużo czasu. „Mój ojciec dobiega sześćdziesiątki, a wciąż nie ma własnego domu” – opowiadał Mohamed przed kilku godzinami na podwórku glinianego domostwa otoczonego glinianym murem, a właściwie nie glinianym, lecz zbudowanym z wysuszonych na słońcu cegieł z nilowego mułu. Będzie go miał dopiero po śmierci dziadka, wcześniej nie może. A sąsiad, choć ma dopiero dwadzieścia sześć lat, ma już własny dom, bo jego ojciec nie żyje. Tylko że dom sąsiada nie jest zbudowany z nilowego mułu, lecz z betonu. Z gliny nie wolno obecnie budować, ostały się tylko budynki stare, a gdy te znikną, zaniknie też tradycja architektoniczna licząca sobie wiele tysięcy lat, właściwie nie wiadomo ile. „Co to kogo obchodzi, z czego buduję sobie dom?” – pyta Mohamed za złością. Od kilku lat rząd stawia dla Beduinów z pustyni betonowe budynki blisko dróg i wodociągów. Tylko że Beduini nie chcą w tych budynkach mieszkać. Trzymają w nich zwierzęta, sami stawiają sobie namioty na podwórzu, bo prawdziwy koczownik nie da sobie nieba nad głową zagrozić betonem.

Rzeczywiście – myślę – jaki sens ma zmuszanie muzułmańskich fellachów, by w imię postępu przestali budować swe gliniane domki? Chyba podobny do tego, jakim kierował się Piotr I, który chcąc zeuropeizować Rosjan, kazał im golić brody. Tyle że z brodą nie da się walczyć za pomocą ustawy, tak czy inaczej odrośnię sama. Co zaś stanie się z prastarą architekturą doliny Nilu, znacznie starszą w swej tradycji niż sztuka budowania piramid? Czy nie grozi nam niebezpieczeństwo, że pewnego dnia gliniane domki rolników egipskich będzie już można oglądać tylko w skansenach? Dlaczego tak dbając o materialne dzieła sztuki przekazane nam przez minione epoki, na przykład o ruiny prastarych świątyń, w których odbywały się niezrozumiałe już dla nas obrzędy, z taką beztróską odnosimy się do dziedzictwa niematerialnego, niszczymy wartości kulturowe trwające w duszach kolejnych pokoleń mieszkańców doliny Nilu od tysięcy lat?

Ta dolina to naprawdę miejsce błogosławione. Święta rzeka po dziś dzień żywi prawie osiemdziesiąt milionów ludzi. Żyzne tereny to tylko pięć procent powierzchni Egiptu. Ale ta woda to prawdziwy skarb. Słyszałem kiedyś wypowiedź jakiegoś geografa, który natrząśnięty się z pomysłów kolonizacji Marsa (tak, są ludzie, którzy traktują je serio!), powiedział, że w porównaniu z takimi projektami propozycja, by nawodnić Saharę wodą z Antarktydy, jawi się jako dziecinnie prosta. Nie trzeba sięgać jednak do aż tak ekstremalnych wizji. Mieszkańcy Bliskiego Wschodu, zwłaszcza ci egipscy fellachowie, pokazują nam, że tam, gdzie święta woda rzeki i święte słońce nieba biorą nas w swą opiekę, gdy można zbierać plony ziemi więcej niż raz w roku, wsłuchany w głos natury człowiek długo jeszcze będzie mógł zaspokajać swe skromne potrzeby bez uciekania się do rozwiązań radykalnych. A potrzeby egipskiego fellacha zawsze były skromne.

Tylko że – skarży się Mohamed – po to, by zwiększyć obszar nawodnionej ziemi i zabezpieczyć kraj przed wylewami Nilu na rzece zbudowano tamy, w tym tę największą w Assuanie. Areal upraw rzeczywiście się zwiększył, powódzie przestały zagrażać, lecz z górnego Nilu przestał płynąć życiodajny muł. Mały raj na Ziemi, jakim jest dolina Nilu, powstał jako owoc miłości czterech żywiołów, tak dobrze znanych starożytnym filozofom: wody płynącej w rzece, ziemi, czyli mułu użyźniającego pola, powietrza, zawsze ciepłego, umożliwiającego kolejne zbiory i tego najważniejszego – słońca, boga Ra. To on sprawia, że w górach Etiopii spadają deszcze zasilające źródła rzeki, że powietrze jest wciąż ciepłe, a uprawy na polach ogrzewane są przez życiodajne promienie. To, że nurt rzeki wypełnia się masą życiodajnej wody, której wylewy umożliwiały pracę rolnika, dzieje się również za sprawą powietrza, monsunowych wiatrów wiejących nad Afryką od strony Oceanu Indyjskiego.

Pamiętam jak kiedyś, gdy w rozmowie z moim przyjacielem, profesorem Dawidem Mannem z Jerozolimy, wyraziłem swój podziw dla osiągnięć mieszkańców kibuców żydowskich zmieniających pustynię w oazy raj, usłyszałem smutną odpowiedź: ten raj od pustyni oddziela najsłabsza rzecz na świecie – technika. Dziś

bardziej niż kiedykolwiek uderza mnie przenikliwość tej uwagi. Żadne wojny, katastrofy ekonomiczne czy chociażby zwykłe awarie nie mogą zepsuć wiatrów monsunowych ani zburzyć gór w Etiopii, a to one przecież są sercem pompującym wodę w życiodajną arterię świętej rzeki.

Egipt to mały, bezpieczny mikroświat, taka oaza na pustyni albo, jeśli kto woli, duża wyspa Robinsonów. Ci Robinsonowie otrzymali od swych bogów wiele: przede wszystkim rzekę tworzącą niewiarygodny, naturalny mechanizm wspierający pracę rolnika. Bogowie dali im inne naturalne dobra: papirus – ten najdoskonalszy przed upowszechnieniem się papieru materiał do zapisywania myśli, niewyczerpalne zasoby wszelkiego rodzaju skał, ogromne bogactwo ryb w rzece. Egipcjanie, jak wszyscy Robinsonowie, czegoś jednak byli pozbawieni. Stosunkowo trudno osiągalne były dla nich metale i dlatego wszelkie wykonane z nich wyroby miały dużą wartość. Rzeźbiarzy i kamieniarzy używających brązowych dłut poddawano specjalnej kontroli w obawie, że mogą ukraść kawałek narzędzia. Dobrem trudno osiągalnym było też drewno, dlatego Egipcjanie nigdy nie posiadali znaczniejszej floty i nie podejmowali, tak jak na przykład Fenicjanie, wypraw morskich. Pomysł Thora Heyerdahla, jakoby mieli oni dopłynąć do Ameryki w papirusowych łodziach, można uznać za sympatyczny dowcip. Gdyby naprawdę chcieli przepływać oceany, mogliby tego dokonać na statkach zbudowanych z drewna sprowadzonego na przykład z Libanu, ale ich najwyraźniej niewiele interesował świat rozciągający się poza małym rajem doliny Nilu: po co zresztą miał ich interesować, skoro wszędzie był to świat gorszy.

Egipcjanie stworzyli swą monumentalną religię wielu bogów, dobrych i złych, przez tysiąclecia powtarzali te same wzorce artystyczne. Wymyślili swój kodeks moralny składający się nie tak jak u nas z dziesięciu, lecz czterdziestu dwóch przykazań. Znamy je z Księgi Zmarłych, której strofy zdobią ściany grobowców faraonów w Dolinie Królów. Niektóre nakazy (należą do nich wszystkie przykazania zawarte później w *Dekalogu*) są dla nas oczywiste, inne zadziwiają swą oryginalnością. Faraon musiał m.in. pamiętać, ażeby na sądzie bogów nie zapomnieć deklaracji, że na przykład nigdy głośno nie wrzeszczał na ulicy albo nigdy nie wrzucił do Nilu martwego zwierzęcia. No cóż, wydaje się, że będąc faraonem tak czy inaczej miał niewiele okazji, by popełnić takie nieczne uczynki. Ale to nie interesowało jego boskich sędziów. Na sądzie Ozyrysa musiał posłuszenie wyklepać wszystkie formułki. Jaki miało to sens?

Chyba bardzo głęboki. Przygotowanie do tej najważniejszej spowiedzi, stanowiącej jak gdyby pierwowzór naszego Sądu Ostatecznego, zajmowało Egipcjanom całe życie. Powtarzając: „nie uczyniłem”, zawsze przecież trzeba było zastanowić się nad swym postępowaniem i zapytać: „czy rzeczywiście nie uczyniłem?”. Na owym sądzie błąd w odpowiedzi albo wykazanie się w jakimś punkcie nieznamościami pewnych formuł mogło zaważyć na całych pośmiertnych losach. Nie wiem, na ile uczenie się formuł i powtarzanie: „to zrobiłem, a tego nie zrobiłem”,

było bardzo pomocne, gdy idzie o zaświatowe życie starożytnych wyznawców egipskiej religii. Na pewno jednak odgrywało bardzo istotną rolę w kształtowaniu ich moralnej postawy tu na Ziemi. Egipcjanin wciąż się uczył, co powinien robić na pośmiertnym sądzie i bardzo bał się pomyłki. Dlatego właśnie dla pierwszych rabusi grobowców faraonów – podobno często byli to ich budowniczkowie, a nawet strażnicy – zapisane modlitewne zwoje papirusów były równie cenne, jak klejnoty czy wyroby ze złota. Papirusy te przedstawiały wielką wartość dla kogoś, kto na sądzie pośmiertnym nie chciał się pomylić. Ale czy takie „kradzione” modlitwy miały jakąś wartość, czy nie ciążyła nad nimi klątwa świętokradstwa? Pewnie tak, ale na to można było znaleźć prostą radę: wystarczyło część łupów oddać w ofierze jakiemuś bogu, prosząc, by bronił nas przed wszystkim co złe, a czego przyczyną może być tylko inny bóg, który z naszym opiekunem ma „na pieńku”.

Opowiedziałem Mohamedowi o moich skojarzeniach i zgodził się ze mną: to była kultura Robinsonów. Można sobie wyobrazić, że cały świat zamieszkują ludy, które przejęły kulturę grecką lub rzymską, może chińską, ale nie jest możliwe, by był to świat w całości opanowany przez kulturę egipską. Przykazanie: „nie wrzucaj martwych zwierząt do Nilu” Izraelitom Mojżesza rozbijającym namioty na pustyni Synaj nie było specjalnie potrzebne. Bogowie starożytnego Egiptu to kwiaty, które mogły rozkwiatać tylko w dolinie Nilu, a przeniesione na pustynię więdyły. Pustynię tę przejść mógł tylko jeden Bóg, żądający zarzucenia wiary we wszystkich innych, zabraniający odtwarzania swych wyimaginowanych wizerunków w malowidłach i rzeźbach; ten który powiedział: „jam jest, którym jest”, nie zaś, „jam jest taki”, bo to otwierałoby pole do domysłów, jakich cech mu brakuje oraz jak powinien wyglądać inny bóg, który te cechy posiada. Wszystko co konkretne, określone, zostało przeniesione do sfery kultury jakoś zrosniętej z religią, ale mimo to od niej różnej. Ta religia, religia Mojżesza i jego Jehowy, mogła żyć nawet wówczas, gdy po pierwotnej kulturze, która ją stworzyła (kulturze koczowników izraelskich przemierzających Synaj), nie było już śladu. Kult jednego Boga bardzo łatwo przenikał z kultury do kultury, pozostając w swym rdzeniu taki sam jak wcześniej, a mimo to ogarniający cały świat. Religia Mojżesza po dziś dzień przetrwała w swej pierwotnej formie, zaś w minionych wiekach zaowocowała powstaniem swych dwóch największych odgałęzień. Jedno stworzył Jezus, drugie Mahomet.

Mój przewodnik też tak uważa. Bardzo szanuje proroka Jezusa i Matkę Marię, która w ucieczce przed prześladowaniami schroniła się na wyspie egipskich Robinsonów. Ale mogła tam być tylko przez chwilę. Jej miejsce było gdzie indziej, właściwie na całym świecie. Bo to taka zwykła matka, a nie żadna kobieta z głową lwa lub szakala. A Robinson? On przecież tak naprawdę wcale nie chciał opuścić swej słonecznej wyspy.